


ELF
iskarb Wujka Leona

Łukaszowi z Las Węglas

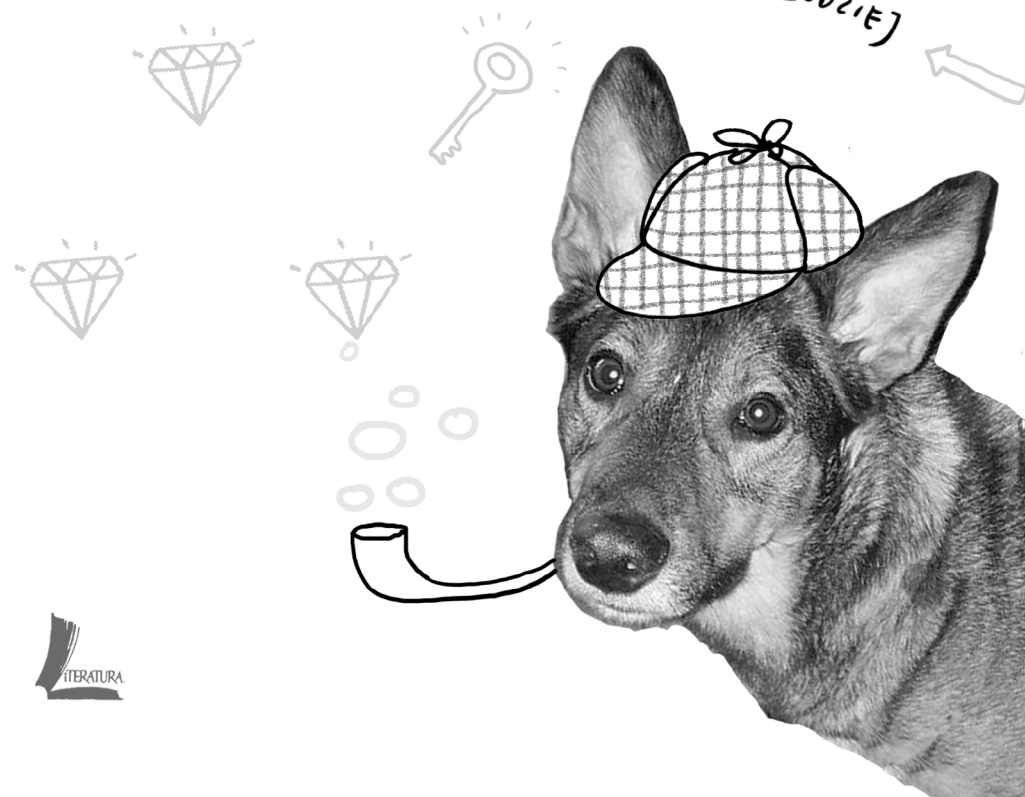


Marcin
Pałasz

ELF

iskarb Wujka Leona

RYSUNKI: KASIA
KOŁODZIEJ



Marcin Pałasz
Elf i skarb wuja Leona

© by Marcin Pałasz
© by Wydawnictwo Literatura

Okladka i ilustracje:
Katarzyna Kołodziej

Korekta:
Lidia Kowalczyk, Aneta Kunowska,
Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-488-1

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2017
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

Tępo jeszcze nie było



Cześć!

Mam na imię Elf¹, jestem psem i od ponad roku wychowuję moich ludzi. To właśnie oni zabrali mnie z takiego miejsca, które nazywa się „schronisko”, i zamieszkałem razem z nimi w ich domu. Od tej pory ich wychowuję, chociaż – nie wiedzieć czemu – czasem twierdzą, że to oni wychowują mnie. Mnie! Ha, dobre sobie!

To ja ich nauczyłem, że na spacer wychodzi się co najmniej trzy razy dziennie. I to nie na piętnaście minut dookoła bloku, ale na chociaż godzinę za jednym razem! Myślę, że dzięki mnie moi ludzie – czyli Duży i Młody – nabrali trochę kondycji. Zwłaszcza Duży. Na samym początku sapał, gdy wchodziliśmy na nasze drugie piętro. Teraz już nie sapie, a nawet wbiega po dwa schodki naraz. Ja tak nie umiem, kurczę.

Nauczyłem ich też, że pies (czyli ja!) potrzebuje dobrego jedzenia. Chociaż wczoraj to Duży zrobił mi tak niemiłą niespodziankę, że ojoj. Czegoś takiego się po nim nie spodziewałem.

¹ ELF (ang. *Extraordinary Life Form*) – Bardzo Niezwykła Forma Życia

Bo wiecie, on czasem wyjeżdża na te swoje „spotkania”. Z jakimiś czytelnikami. Nie wiem, kim oni są, ale mam nadzieję, że kiedyś ich poznam. Należy mi się to jak psu kość! Chodzi o to, że ja okropnie tęsknię za tym moim Dużym, gdy go z nami nie ma. Tak to już jest, że pies wybiera sobie z rodziny jednego człowieka jako Tego Najważniejszego, rozumiecie? Inni też są ważni, ale ten jeden jest najważniejszy. I za nim najbardziej się tęskni. Jakoś tak się stało, że po przyjeździe ze schroniska najbardziej pokochałem Dużego. Wprost do niemożliwości! I sami powiedzcie: jakim cudem właśnie on zrobił mi tak okropną rzecz, w dodatku tuż po przyjeździe ze swojego kolejnego wyjazdu na „spotkania”?!

A było tak: Duży wrócił, postawił te wszystkie ogromniaste torby w przedpokoju, a do tego kilka reklamówek. Jedna z nich pachniała wyjątkowo apetycznie, no ale najpierw trzeba było się przywitać, prawda? Przyniosłem mu wszystkie ukochane zabawki, potem przewróciłem go na kanapę i solidnie poprawiłem mu fryzurę jęzorem. Młody tarzał się razem z nami, ale nie merdał. Zawsze mi go szkoda, wiecie? Bo nosem czuję, że Młody też się cieszy, gdy Duży wraca do domu z tych swoich wyjazdów, no ale nie ma jak tego okazać. Głupio tak żyć bez ogona, prawda? Niby mógłby Dużemu też wylizać fryzurę, ale ludzkie języki są dużo krótsze niż psie, więc może dlatego tego nie robi. Biedni są ci ludzie, ech...

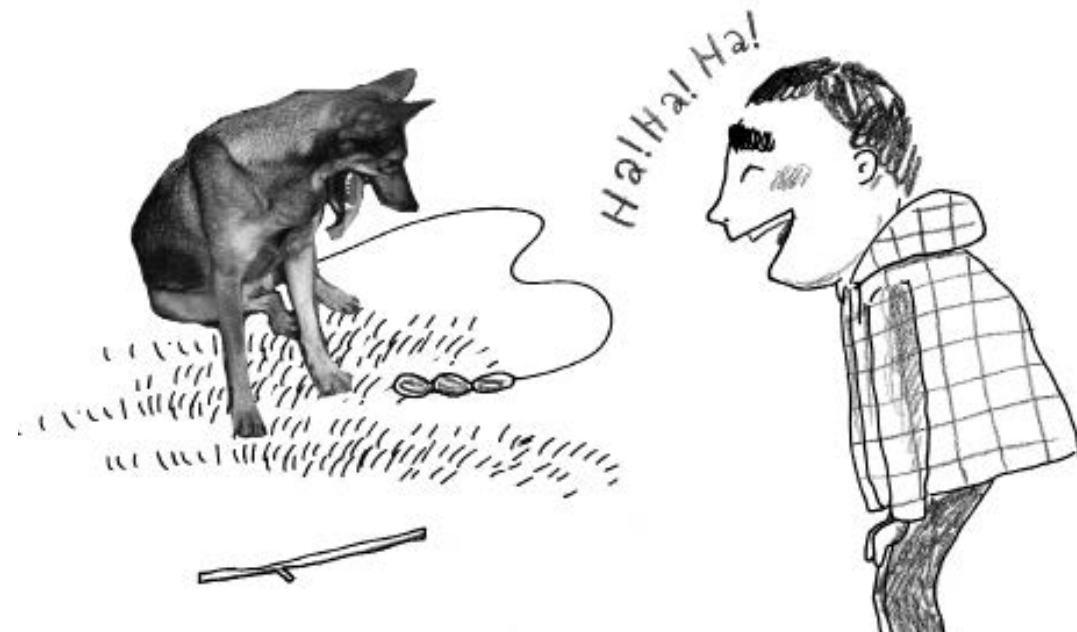
No a potem, gdy już było po powitaniu, poszedłem sprawdzić te reklamówki. Wyszedłem z założenia, że jeśli po powrocie w jednej z nich jest coś tak oszałamia-

jąco pięknie pachnącego, to na pewno jest to dla mnie. Bo przecież Duży mnie kocha, prawda? Więc zjadłem to dość szybko, tak na wszelki wypadek. Następnego dnia rano poszliśmy jak zwykle na spacer, a niedługo później na trawniku zaczęła mnie gonić MOJA WŁASNA KUPA...!!!

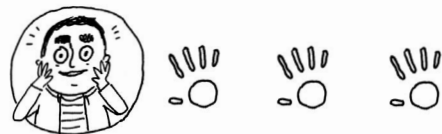
Zrobiłem kupę i chciałem sobie pójść, ale od razu poczułem, że coś jest nie w porządku. Kupa szła za mną, złowrogo przemykając w trawie. Zdenerwowałem się i zacząłem iść szybciej, ale kupa nadażała bez problemu. To było okropne! W końcu w panice zacząłem biec, ale kupa mnie goniła, podskakując!!! A ten potwór – Duży, zamiast mi pomóc i jakoś zamordować tę straszliwą kupę, po prostu się śmiał! Usiadł na trawie i śmiał się tak, jak chyba jeszcze nigdy wcześniej!

Nigdy mu tego nie wybaczę.

Chyba.



Teżo jeszcze nie było
- część druga



– Sam sobie wziął i pojechał – burczał pod nosem Młody, ustawiając w lodówce słoiki z przetworami domowej roboty, które przywiozłem z podróży. – Od Międzydrojów po Gdańsk jeździł sobie bez nas, widzisz, Elfie? Ty się poważnie zastanów, czy on naprawdę nas kocha...

– Zdaje się, że gdy ostatni raz wspólnie byliśmy nad morzem, ukradziono pensjonat, w którym mieliśmy mieszkać – zauważyłem z lekką melancholią. – No a Elf prawie stracił wtedy życie. Nie mów tylko, że tęsknisz za takimi wrażeniami?

Pies leżący u naszych stóp zamerdał uprzejmię, gdy w rozmowie padło jego imię. Jednakże nie odrywał wzroku od wnętrza lodówki, stojącej teraz otworem.

– Skąd ty to wszystko wzięłeś? – zdziwił się Młody, wyciągając z torby podróżnej kolejne dwa słoiki. – I co to w ogóle jest, to coś?

Zerknąłem i uśmiechnąłem się błogo.

– Marynowana papryka – oświadczyłem z dumą. – W jednej z bibliotek pracuje przesympatyczna pani, której w tym roku wszystko wyjątkowo obrodziło w ogrodzie.

No i dostaliśmy prezenty. I pozdrowienia dla ciebie. I dla Elfa też! Mamy jeszcze zielone pomidory, trzeba z nimi coś zrobić.

– Też marynowane?

– Nie, surowe. Możemy je przyrządzić tak jak w tytule tamtej książki, pamiętasz?

– Smażone zielone?

– Właśnie! – zatarłem ręce. – Ale to jutro. Słuchaj, widziałeś gdzieś kabanosy?

– Marynowane?!

– Zwariowałeś? – popukałem się w czoło. – Normalne, wędzone. Przepyszne, mówię ci! Kupiłem przed samym wyjazdem z Gdańska w takim małym sklepie z ekologiczną żywnością. Suche, chrupiące, przewiązane sznureczkiem... Niebo w gębie!

– Nie widziałem – Młodemu rozbłyły oczy, bo dobre kabanosy cenił chyba tak samo, jak ja. – Gdzie są?

– Przecież właśnie o to pytam... Były w którejś reklamówce.

– Nie były – oświadczył kategorycznie. – Może zostawiłeś w aucie?

– Niemożliwe, wziąłem wszystko!

Coś mnie tknęło. Chwilę przebierałem w stosie reklamówek na podłodze i w końcu znalazłem jedną pustą, z logo owego ekologicznego sklepu.

– Tu były – rzekłem, spoglądając na syna podejrzliwie. – Tylko nie mów, że sam wszystkie zeżarłeś!

Spojrzał na mnie z takim wyrzutem, że od razu pożałowałem swoich słów.

– Może jestem żarłoczny ponad miarę – zaczął ponuro – ale na pewno nigdy bym...

– Dobrze już, przepraszam – przerwałem mu ze skruką. – W takim razie gdzie są te przekłete kabanosy?

Chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, a potem obaj jednocześnie spojrzeliśmy w dół. Psia fizjonomia wyrażała absolutną niewinność. Elf uniósł wzrok, przejmie zamerdał ogonem, po czym wstał i podejrzanie szybko oddalił się do pokoju, gdzie grzecznie położył się na swoim legowisku.

– No to już wiemy, gdzie podziały się nasze kabanosy – westchnąłem i zacząłem zbierać z podłogi puste reklamówki. – Mam tylko nadzieję, że mu nie zaszkodzą.

– Włóż te reklamówki do jednej – rzekł Młody ponuro, zerkając w stronę pokoju. – Wrzucę je do pojemnika na plastik, gdy wieczorem pójdę z nim na spacer... Ty, słuchaj! Ale ten nasz wspólny wyjazd jest aktualny, tak?

Zmęczony podróżą i wytrącony nieco z równowagi nagłą utratą kabanosów nie od razu skojarzyłem, o czym mówi mój syn.

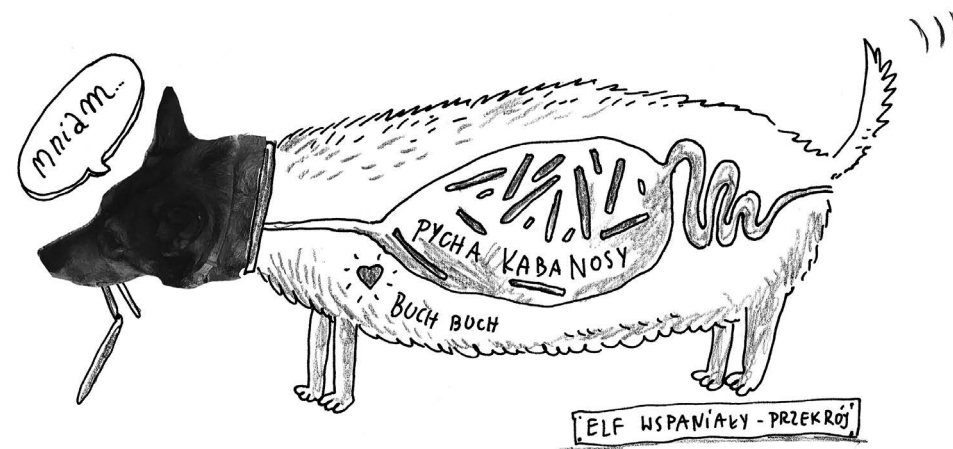
– Dokąd...? – spytałem niepewnie. – Jaki znowu wyjazd?

– Odwołany? – przeraził się Młody, zamierając z ostatnim słoikiem marynowanej papryki w dłoni. – No jak to jaki? Tamten, na te twoje spotkania i odczytanie testamentu!

To mnie lekko otrzeźwiło.

– Ależ oczywiście, że aktualny! – uspokoiłem go pośpiesznie. – Jedziemy za dwa dni, tak jak było w planie.

Młody zastygł w dziwnej pozycji, wpatrzony we wnętrze lodówki.



– Jeszcze nigdy nie byłem świadkiem publicznego, uroczystego odczytania czyjegoś testamentu – oznajmił rozmarzony. – To jak w filmach, no nie? Będzie ten, no... notariusz, tak?

– Notariusz – kiwnąłem głową. – A teraz zamknij wreszcie tę lodówkę, bo lada chwila wyzionie ducha, a że jest całkiem nowa, to byłoby trochę szkoda...

Kolejną podróż mieliśmy już odbyć wspólnie – Elf, Młody i ja. Kilka miesięcy temu dostałem zaproszenie na serię czterech sierpniowych spotkań z młodymi czytelnikami w okolicach Konina, co mnie bardzo ucieszyło: ekipę z tamtejszej biblioteki znałem doskonale, zaś nocować mieliśmy nie w kolejnym bezdusznym hotelu, tylko w dużym, pięknym domu w Krepinie, który dyrektorka tamtejszej biblioteki odziedziczyła niedawno po swoim wuju.

– Ale tego domu już jej nie zabiorą, tak? – upewnił się Młody, podnosząc się z kucek i zamykając drzwi lodówki. – Bo to głupio by trochę było, przyjechać na miejsce i nie mieć gdzie mieszkać...

– Nie zabiorą – roześmiałem się, włączając czajnik bezprzewodowy. – Ten testament w ogóle składał się z dwóch części: pierwsza z nich, taka ogólna, została odczytana tuż po śmierci tego wuja. Pani Małgosia była jego jedyną żyjącą krewną i dostała dom, w którym wuj mieszkał do końca życia. Duży, piękny dom, naprawdę okazały...

– A druga część testamentu?

Zamyśliłem się, bo i mnie ta sprawa intrygowała.

– Druga część testamentu ma zostać odczytana dokładnie dwudziestego trzeciego sierpnia w samo południe – oznajmiłem, unosząc brwi. – I nikt nie ma zielonego pojęcia, co zawiera. Z tego powodu będziemy tam nie tylko my i pani Małgosia z rodziną, ale także paru krewnych...

– Mówiłeś, że z rodziny wuja żyje tylko ona ?

– Członków rodziny jej męża – poprawiłem się. – Przyjadą tam albo już są. Może mają nadzieję coś dostać, a może są po prostu ciekawi? Nie wiem. Tak czy inaczej, ten cały dom... a w zasadzie pałac, kurczę – jest naprawdę przepiękny, słowo daję!

– Widziałeś go?

– Tylko na zdjęciach – uniosłem dłoń. – Na żywo zobaczymy go razem. Ale i na zdjęciach robi wrażenie. Wuj w ogóle podobno był dość ekscentryczną postacią i miał bardzo ciekawe życie. Służył w Legii Cudzoziemskiej, wyobrażasz to sobie?

– Kiedyś czytałem coś o Legii Cudzoziemskiej – rzekł Młody niepewnie. – To taka prywatna armia do wynajęcia, tak?

Zmarszczyłem brwi.

– Teraz nie całkiem tak to wygląda – odparłem w końcu, drapiąc się po głowie. – Ale kiedyś i owszem. W ogóle legia ma długą tradycję, piękny kodeks honorowy... co nie zmienia faktu, że dawniej znajdowały w niej schronienie różne podejrzanym typom, którym palił się pod nogami grunt w ich ojczystych krajach. Jasne, że nie była to reguła, a wyjątki; teraz jednak podobno legia przykładą bardzo dużą wagę do pozytywnej weryfikacji jej nowych członków. Więc ten wuj Leon...

– Tak miał na imię? – przerwał mi Młody z niedowierzaniem, odwracając się od kubków z herbatą, które właśnie zalał wrzątkiem. – Leon? Naprawdę?

– A co w tym dziwnego? – zdumiałem się. – Piękne, stare imię. I wcale nie tak zapomniane, bo całkiem niedawno podpisywałem książkę dla jednego Leona. Który wcale nie miał dziewięćdziesięciu, a tylko dziewięć lat!

– Podpisywałeś też jednemu Dzejsonowi – mruknął Młody kąśliwie, chichocząc pod nosem. – Gdybyś dał mi na imię Dzejson, chyba wytoczyłbym ci proces po osiągnięciu pełnoletności.

– I dlatego masz na imię Tomasz, a nie Dzejson – odparłem z humorem. – Bo wiesz, tak naprawdę chciałem dać ci na imię Dżastin, ale przeraziła mnie wizja odszkodowania, które musiałbym ci kiedyś zapłacić...

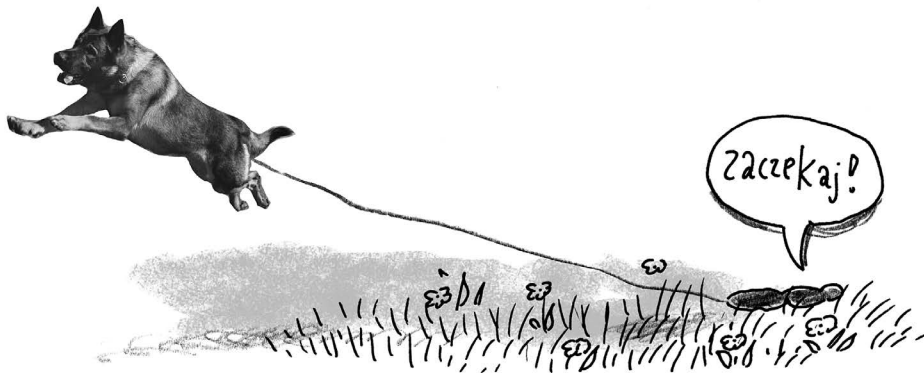
Gdy skończyliśmy się śmiać, jeszcze chwilę pogadaliśmy o wszystkim i o niczym, potem Młody poszedł

na wieczorny spacer z Elfem, a ja wreszcie się porządnie wyspałem.

Następnego dnia, podczas porannego spaceru, okazało się, że sznureczek po kabanosach sprawił Elfowi pewne problemy. Mianowicie psiak się załatwił na trawniku, ja już podchodziłem z woreczkiem na odchody, gdy wtem Elf zamarł. Podejrzliwie obejrzał się za siebie i zrobił dwa kroki do przodu. Wtedy dostrzegłem, że za nim, w trawie, też się coś porusza. Przyjrzałem się uważniej i ze zdumieniem ujrzałem... jego własną kupę, która posłusznie podążała w ślad za psem na czymś, co po chwili rozpoznałem jako ów nieszczęsny kabanosowy sznureczek. Jego jeden koniec tkwił w kupie, a drugi w Elfie. Co pies zrobił krok, kupa pełzła za nim...

Śmiałem się tak, że aż poczułem się w końcu winny, podczas gdy mój biedny pies uciekał przed goniącą go Straszliwą Kupą, skamłając i popiskując. W końcu opanowałem się i pomogłem biednemu Elfowi, choć – już po wszystkim – spojrzał na mnie dziwnie ponuro, prychnął i demonstracyjnie poszedł obwąchiwać pobliskie krzewy.

Ot, psia (nie)wdzięczność...!



Gwiazdor w pałacu



– Ach, więc to jest nasz bohater! – bibliotekarka, czyli Małgosia, ku mojemu zdumieniu usiadła na podjeździe swojego wielkiego domu, by przywitać się z Elfem. – Ależ ty jesteś piękny! Po prostu gwiazdor! Och, no nie mogę... dzieci będą zachwycone! Jak to dobrze, że wzięliście go ze sobą!

– Dzień dobry – rzekł niepewnie Młody, stając obok mnie. Niby mówił do Małgosi, ale wzrok miał wlepiony w budynek za podjazdem. I wcale mu się nie dziwiłem, gdyż ja również byłem lekko wstrząśnięty.

– Małgosiu, to jest przecież pałacyk, a nie zwyczajny dom! – wykrzyknąłem w końcu, kręcąc głową. – Mój Boże...!

– Oj tam, od razu pałacyk – machnęła ręką, drugą delikatnie drapiąc po brzuchu Elfa, który leżał przed nią na plecach, najwyraźniej wniebowzięty. – Elfie, ależ ty jesteś fajny! I w sumie zupełnie taki, jak wyobrażałam sobie po przeczytaniu książki... No co, Elfiku? Kto to tu przyjechał do mnie? Bohater książkowy, tak? A nie będziesz strzelał fochów, hę? Bo ja tu nie mam czerwonych dywanów, wiesz...

Nie mogłem się nie uśmiechnąć. Fakt, nie tak dawno temu ukazała się moja pierwsza książka o Elfie i z miejsca zjednała sobie serca czytelników – i tych najmłod-

szych, i tych trochę starszych, ale również, co nieco mnie zdumiało, tych zupełnie dorosłych!

– Niech pani mówi, co chce, ale to JEST pałac – oświadczył zniecierpliwiony Młody, robiąc krok do przodu. – I ja jestem, proszę wybaczyć, wstrząśnięty.

– A co mam wybaczyć? – zdumiała się Małgosia.

– Jedno słowo, którego nie użyłem – odparł Młody z godnością. – Ale samo cisnęło mi się na usta.

– I bardzo dobrze, że się powstrzymałeś – mruknąłem pod nosem, otwierając bagażnik auta. – Jeszcze by tego brakowało, żebyś rozpoczął rozmowę od wyrazów niecenzuralnych...

– Wy naprawdę zachowujecie się wobec siebie tak jak w tej książce! – wykrzyknęła Małgosia, wstając, co najwyraźniej nie bardzo spodobało się Elfowi. – No, wariaci po prostu...!

– To po prostu MY – zakomunikował życzliwie Młody, biorąc z moich rąk większą z dwóch toreb. – Gdzie mam to zanieść?

– Do pałacu – zachichotałem, spoglądając mimo woli na Małgosię. Potem jednak przystanąłem i rozejrzałem się dookoła. – Małgosiu, naprawdę brak mi słów... Co za piękny dom! A ten teren dookoła!

Istotnie, teren był olbrzymi. Najwyraźniej niegdyś był to dobrze utrzymany park z wieloma starymi drzewami, między którymi płątały się ścieżki, malowniczo niknące wśród krzewów lub pod wierzbami nisko zwieszającymi gałęzie. Widać było ślady starych klombów, gdzieś mrugało wodne oczko... Teraz jednakże wszyst-



ko to było dość zaniedbane, zielen z całą pewnością od dawna nie była przycinana, a nawet dróżki zdążyły zarosnąć trawą i kwiatami. Mnie to jednak nie przeszkadzało; zawsze wolałem parki wyglądające trochę dziko od tych ułożonych pod linijkę, gdzie każda trawka jest równiutko przycięta i wszystko ma swoje zaplanowane przez architekta zielone miejsce.

Jedynie droga prowadząca od bramy do domostwa była dobrze utrzymana, wysypana żwirem i zabezpieczona granitowymi krawężnikami. Sam podjazd zataczał wielkie koło u stóp schodów, prowadzących do pałacyku; schody na dole były bardzo szerokie i stopniowo zwężały się ku górze, gdzie – za niedużym podestem – znajdowały się masywne, wyglądające na bardzo ciężkie drzwi z pościemniałego ze starości drewna.

Zwróciłem też uwagę na szyby: pięknie błyszczące w kilku oknach na parterze, a „zmęczone” i przykurzone w pozostałych oknach parteru oraz we wszystkich

na pierwszym piętrze, jak również w małych okienkach w dachu, gdzie prawdopodobnie mieścił się strych. Całość miała co najmniej dwadzieścia metrów szerokości – budynek naprawdę był okazały i według mnie z pewnością zasługiwał na miano pałacyku!

Kimże był ów wuj, oprócz tego, że służył w Legii Cudoziemskiej?!

Obiecałem sobie solennie, że przy najbliższej okazji wypytam Małgosię i jej rodzinę o wszystko: i o historię domu, i o historię wuja...

– A tu ktoś chyba ognisko palił? – dobiegł z tyłu głos Młodego.

Odwróciłem się i ujrzałem, że stoi na sporym, kolistym placu zaraz za podjazdem. Placyk był wyłożony kamiennymi płytami, które na brzegach zaczynały zarastać płożące się rośliny. Pośrodku placu widniała nietypowa, wysoka może na trzy metry kolumna, również wykonana z kamienia. Młody stał przy niej, wpatrując się w kamienne podłoże, które było porządnie osmalone i pokryte jakby sadzą.

– Ognisko, tutaj? – zdziwiłem się, robiąc kilka kroków do przodu.

Elf, widząc to, od razu się poderwał i pomknął w stronę mojego syna.

– To... to nie było ognisko – odchrząknęła Małgosia jakby z zakłopotaniem. – Tutaj było chyba stanowisko startowe raket wuja Leona...

– Co takiego?! – Młody w ułamku sekundy znalazł się obok nas, wybałuszając oczy. – Jakich raket?

Mnie też rakiety nieco zdziwiły, a jednocześnie poczułem się bardzo zaciekawiony – wszak kiedyś studiowałem astronomię, a wszelkie rakiety, loty kosmiczne i tak dalej wciąż bardzo mnie interesowały. Nie podejrzewałem co prawda, by tajemniczy wuj Leon zdołał stworzyć cokolwiek, co osiągnęłoby orbitę okołozemską, ale odpalenie czegokolwiek, co poleciałoby choć na kilometr w górę, zasługiwało już na całkowity szacunek.

– No, raket – westchnęła Małgosia. – Od jakichś pięciu, sześciu lat zaczął się tym bardzo interesować. Powiedział, że ma w domu coś strasznego, co najlepiej byłoby wystrzelić daleko w kosmos. Naprawdę! Ale wtedy już lekko dziwaczał i wszyscy uznaliśmy, że to początki alzheimera albo coś w tym stylu... Jednak gdy jego pierwsza rakiet wystartowała i wzniosła się na ponad trzy kilometry, uznaliśmy, że to jednak nie alzheimer.

– Rakiet była na paliwo stałe czy ciekłe? – zainteresował się Młody rzeczowo. – Bo te paliwa mają inny impuls właściwy, wie pani...

Małgosia, wyglądająca na lekko wstrząśniętą, wybałuszyła oczy i przeżegnała się odruchowo. No tak, mój syn również interesował się astronautyką...

– A skąd ja mam to wiedzieć? Nie znam się na tym kompletnie! Wiem tylko tyle, że po piątej czy szóstej próbie do wujka przyjechało wojsko i mieli tu jakąś bardzo poważną rozmowę. Zdaje się, że jego ostatni latający produkt wyładował na poligonie trzydzieści kilometrów stąd, a wojsku nie bardzo się to spodobało...

